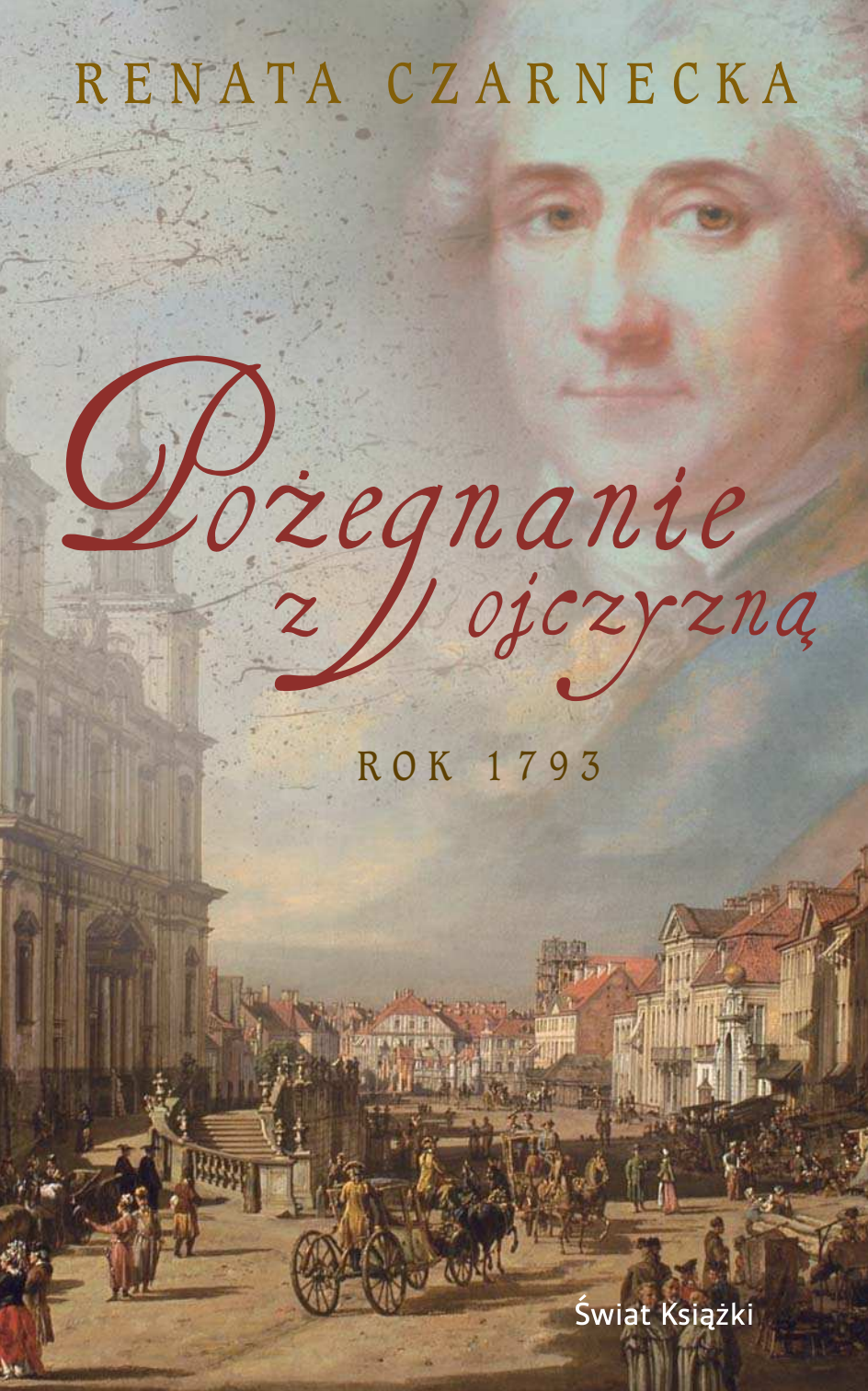


RENATA CZARNECKA

Pożegnanie  
z Ojczyzną

ROK 1793



Świat Książki

Pożegnanie  
z Ojczyzną

RENATA CZARNECKA

Pożegnanie  
z Ojczyzną

ROK 1793

  
Świat Książki

Redaktor prowadzący  
Elżbieta Kobusińska

Redakcja merytoryczna  
Jerzy Lewiński

Redakcja techniczna  
Lidia Lamparska

Korekta  
Marianna Filipkowska  
Jolanta Rososińska

Copyright © by Renata Czarnecka, 2011  
All rights reserved

Świat Książki  
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.  
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2614-1  
Nr 45090

# Prolog

*Warszawa, listopad 1794*

– Ludzie! Ludzie! Suworow idzie!!! Ryglujcie drzwi!  
Uciekajcie na piętra! Ratujcie się!!!

Przerażający, prawie jak zwierzęcy ryk zadrgał w zgniłym porannym powietrzu, wpadając w łomot końskich kopyt. Ulice, zwykle z pierwszym brzaskiem dnia wypełniające się miejskim gwarem, tym razem nie zatętniły życiem. Tylko gdzieś niegdzie przemykały ludzkie postacie, a powozy kolebały się leniwie po bruku.

– Suworow idzie!!!

Donośny tembr trwogą ożywił dotąd jakby uśpione miasto. Odpowiedziały mu turkoczące w pędzie koła umykających powozów i krzyki oraz płacz dzieci, mieszające się z wrzaskiem ptactwa, które gwałtownie poderwało się do lotu i czarną chmurą zakotłowało nad miastem, by krążyć nad nim złowrogo i przeraźliwym krakaniem potęgować trwogę. Odkąd Praga spłonęła, a jej mieszkańcy zostali wycięci w pień, warszawiacy każdego dnia spoglądali na drugą stronę Wisły w oczekiwaniu na wjazd zwycięskiego wodza, który przemarsz swoich wojsk znaczył krwią wroga. Ludzie w strachu siedzieli po domach, oczekując wieści, co spotka Warszawę.

Jeździec, który galopował od placu Zamkowego przez Krakowskie Przedmieście w kierunku Nowego Świata, przemknął jak błyskawica, pozostawiając za sobą śmiertelną ciszę. Minął jakiś kwadrans, gdy rozległ się tętent końskich kopyt z siłą uderzających o bruk i na Krakowskie wpadło kilkudziesięciu kozaków. Część ich w okamgnieniu obstawiła pikietami ulice i zaułki. Pozostali podjeżdżali konno pod drzwi kamienic i pałaców, uderzając w nie bagnetami, jakby chcieli sprawdzić, czy w myśl rozkazu wodza mieszkańcy zaryglowali drzwi, to znowu zaglądali do okien na parterze, jak wilcy wypatrujący zwierzyny. Zdawało się, że miasto w jednej chwili wymarło, gdy naraz od Podwalnej\* dał się słyszeć jakiś rytmiczny dźwięk uderzeń. Jeszcze tak delikatny i cichy, że tylko wprawne ucho mogło go wyłować, lecz z każdą chwilą stawał się donośniejszy, pewny i budzący trwogę. Tak grały wojskowe werble. Po jakichś dwóch kwadransach w oddali ukazała się sunąca nisko nad ziemią szara chmura, która niczym szarańcza kierowała się wprost ku sercu miasta. Wkrótce na placu Zamkowym pojawiły się pierwsze pułki kozaków, którym przewodzili oficerowie. Nad oddziałami powiewały pułkowe chorągwie. Pierwsza kolumna wojska licząca kilka tysięcy żołnierzy wlewała się rytmicznie w Krakowskie Przedmieście, ciągnąc za sobą odór krwi, dymu i spalenizny.

Drzwi przylegających do ulic domów i pałaców zgodnie z rozkazem Suworowa były zamknięte i zaryglowane na wszystkie spusty, okna na najniższych kondygnacjach szczelnie zasłonięte, żeby wzrok żołnierzy nawet przypadkiem nie prześlizgnął się do wnętrza. Kozacy, uzbrojeni w broń palną, odkryte szable i piki, jechali na małych wierzchowcach, ciągnąc za sobą juczne konie z furażem, i rzucali butne, ciekawskie spojrzenia, jakby wzrokiem chcieli przeniknąć mury, by chytrym okiem rozeznąć, jakie łupy kryją te ogromne pałace polskich buntowników. Z najwyższych pięter przyglądali się

---

\* Dzisiejsza ulica Podwale.

im warszawiacy, a srogość wypisana na twarzach jeźdźców budziła ich strach. Tymczasem oni zadzierali wysoko głowy, by łakomym okiem spoglądać po kobietach, i chmurnym spojrzeniem obrzucali swojego wodza, nienawidząc go za to, że wzbronił im takich łupów. Butnie spojierali po oknach na parterze, wypatrując, czy aby kto nie pokaże się wbrew rozkazowi Suworowa, gdyż złamanie go byłoby przyzwoleniem na grabież. Ale jeszcze panował spokój. Na czele pierwszej kolumny na pstrym koniu jechał w otoczeniu oficerów ich wódz Aleksander Wasiljewicz Suworow, to rzucał dumnym spojrzeniem przed siebie, to oglądał się do tyłu, na swoich ludzi, sam ubrany w prosty żołnierski mundur. Miał powód do dumy. Oto zdławił rewolucję, ugasił pożar, który wiosną tego roku ogarnął umysły szalonych Polaków. Zwyciężył, dzięki czemu teraz wkraczał do Warszawy w aureoli chwały.

– Pułkowniku Naryszkin! – zawołał Suworow schrypniętym głosem.

Oficer o poszarzałej, zmęczonej twarzy, z kilkuniedniowym zarostem, natychmiast popędził konia i zrównał się z wodzem.

– Jak ludzie? Spokojni? – spytał Suworow.

– Tak, panie generale.

– Pilnujcie ich! – przestrzegł pułkownika. – Jak mi się który rzuci do okien, odpowiecie własną głową.

To właśnie ludzie Dmitrija Naryszkina najgłośniej krzyczeli w dzień poprzedzający wjazd do Warszawy, mając za złe naczelnemu wodzowi, że nie pozwala im złupić warszawiaków.

– Tak jest! – odparł prędko Naryszkin, dobrze wiedząc, że to nie żarty ani słowa rzucane na wiatr. Suworow był trzeźwy.

Tymczasem w głowie generała kołatały myśli. Oto Warszawa, jeszcze tak niedawno dumna i pewna zwycięstwa, dziś korzy się przed nim i godzi na wszystkie jego warunki, byle uniknąć losu Pragi. Tam, po drugiej stronie rzeki, na przedmieściach, Suworow pozostawił kilkanaście tysięcy żołnie-

rzy, którym kazał koczować i czekać na rozkazy. Ze zgrzyoty, że musieli zostać zamiast iść na Warszawę, by wziąć na niej odwet i obłowić się, popili się na umór.

– Dwadzieścia tysięcy ludzkich istnień! – grzmiał Suworow, mając w pamięci ofiary rzezi na Pradze. – Mało wam łupów?! Chcecie więcej?! Po moim trupie!!!

Zagroził, że jeśli któryś w czasie przemarszu wojsk przez Warszawę rzuci się z bagnetem do okien, on sam strzeli mu w łeb. Spotulniali przed tym niepozornym małym człowiekiem, choć dotąd go nienawidzą i tylko czekają okazji, by niczym wilcy rzucić się do grabieży. Naryszkin zawrócił do swojego pułku. W oddali, przed sobą, miał pałac Czetwertyńskich. To ożywiło wspomnienia i jakimś ciepłem rozlało się w jego sercu. Gdy przejeżdżał pod pałacem, wbił wzrok w okna na parterze, lecz te były zasłonięte, uniósł więc głowę i spoglądał w okiennice na piętrze. Zdawało mu się, że w oknie stoi jakaś kobieta.

– Marina... – szepnął, a w oku zakręciła mu się łza.

# 1

## Stracone nadzieje

*Warszawa, styczeń 1793*

Tej zimy mrozy dokuczyły mieszkańcom Warszawy, z niecierpliwością czekano więc nadejścia wiosny. Miała ona również zrzucić z warszawiaków jarzmo utrzymania rosyjskiego wojska, które już w grudniu zeszłego roku, po przegranej wojnie Polski z Rosją, zalało miasto. Ulice pełne były rosyjskich żołnierzy, którzy każdego dnia nową falą, niczym potop, zalewali Warszawę, wpychając się w każdą dziurę. Doszło do tego, że kwaterowano wojska carskie w magnackich pałacach. Soldaci wchodzili do rezydencji jak do siebie, panosząc się, i tylko oficerowie trzymali w ryzach tę niewyżytą sforę. Postępująca drożyzna i brak pracy sprawiały, że w mieście przybywało nędzarzy. Wielu z nich, by przeżyć, trudniło się kradzieżą, żebractwem albo sutenerstwem. Najwięcej żebraków spotkać można było na Krakowskim Przedmieściu i przy kościele Świętego Krzyża, gdzie w niedzielę zjeżdżali na mszę magnaci. Wtedy schody prowadzące do kościoła oblepione były nędzarami niczym robactwem. Na brak zajęcia nie narzekały prostytutki, na które żołdactwo spoglądało łakomym okiem. Domy schadzek najgorszego sortu, których najwięcej znajdowało się przy murach okalających miasto, pełne były rosyjskich żołnierzy, natomiast oficerowie chętnie odwiedzali przybytki rozkoszy przy ulicy Trębackiej i na Fre-

ta. Z tygodnia na tydzień Warszawę zalewała druga groźna fala – choroba przenoszona przez prostytutki i żołnierzy, tutaj zwana warszawską. Byli jeszcze Żydzi, którzy dzięki głowie do interesów i na wojsku rosyjskim mieli zarobek. Wielu z nich udzielało drobnych albo większych pożyczek oficerom i zaopatrywało w żywność pułki, konkurując z rosyjskimi markietanami. Kto chciał żyć i się bogacić, musiał bić czołem przed obcymi, nadskakiwać im i choćby udawać sojusznika imperatorowej.

Wstał pogodny dzień, a słońce ostrym światłem odbijało się od ubitej śnieżnej pokrywy zalegającej Krakowskie Przedmieście. Ruch tutaj jak zwykle zaczynał się świtem, kiedy otwierano liczne sklepy, a drobni handlarze rozstawiali swoje kramy, których najwięcej było wokół kolumny Zygmunta. Gwar przeróżnych języków: polskiego, francuskiego, jidysz i rosyjskiego, mieszał się ze skrzypieniem fiaków\* i karet, tętentem końskich kopyt rozbryzgujących śnieg i muzyką katoryniarzy. Krakowskie Przedmieście było dzielnicą magnackich pałaców i składów handlowych, z których najpopularniejszy należał do wojewody kijowskiego Prota Potockiego. Najmodniejsze damy zaopatrywały się tam w najlepsze pończochy i tkaniny. Obok arystokratek chowających się w karmazynowych i błękitnych powozach ulicę zapelniały mieszczki i uboga ludność miasta, która każdego dnia niczym potok przelewała się przez przestronne Krakowskie Przedmieście.

Naraz w uliczny gwar wpadło rżenie koni i tętent końskich kopyt. Od placu Zamkowego gnało kilkudziesięciu jeźdźców na czele z oficerem. Byli to kozacy o butnym spojrzeniu przekrwionych oczu, w długich ciemnoszarych kaftanach i w futrzanych czapkach, z pistoletami u boku i obnażonymi szablami połyskującymi w blasku słońca. Warszawiacy w popłochu ustępowali im z drogi, tymczasem kawalkada przemknęła ni-

---

\* Fiakry – powozy najmowane na kursy.

czym burza i zatrzymała się pod okazałym pałacem Potockich\*. Jeden z kozaków zwinnie zeskoczył z konia i wbiegł na schody. Uderzył w drzwi kolbą pistoletu, aż donośny dźwięk rozerwał powietrze. Otworzył lokaj, który ujrzawszy intruza, natychmiast się cofnął, gotów zamknąć drzwi, lecz ten wepchnął go do środka i nogą zastawił podwoje. Na to tylko czekał oficer, który zeskoczywszy z konia, wraz z kozakami pewnie wkroczył do środka. W holu, w blasku wpadającego tu słońca, ujrzał starszą kobietę. Była to Katarzyna Kossakowska, z domu Potocka, ciotka hrabiego Ignacego Potockiego, wdowa po kasztelanie kamińskim, znana z gorącego patriotyzmu.

Stojąc w blasku dnia, w ciemnej sukni, wysoka i całkiem siwa, dumnie wpatrywała się w rosyjskiego oficera, który zmierzwszy ją przenikliwym spojrzeniem, podszedł i skłoniwszy głowę, powiedział po francusku:

– *Madame*, stoi przed panią pułkownik Aleksiej Iwanowicz Markow. Przyprowadziłem wojsko do kwaterunku – trzydziestu ośmiu ludzi.

Pani Kossakowska zmarszczyła czoło i milczała, pospiesznie zbierając myśli. Wreszcie spojrzała pewnie na młodego oficera i odparła:

– To pomyłka, oficerze, pan jesteś w pałacu hrabiego Ignacego Potockiego.

– Buntownika Potockiego – powtórzył twardo, tym razem po rosyjsku, nie zważając na słowa.

Poczuła odór wódki, którą raczył się dla rozgrzewki i której nie skąpił kozakom przed wkroczeniem do miasta. Widziała ponure spojrzenie, które przenikliwie ją świdrowało.

– Oto rozkaz rozkwaterowania wojska i jego zaprowiantowania – powiedział, przerywając ciszę, po czym wyciągnął bilet i podał gospodyni, która z mocnym biciem serca czytała

---

\* Chodzi o pałac hrabiego Ignacego Potockiego, który mieścił się przy Krakowskim Przedmieściu 42, obecnie stoi tu hotel Bristol.

go w milczeniu. Dokument wystawiony został przez Deputację Kwaterniczą, przez którą całe miasto zapchane było rosyjskim wojskiem. Z tego, co wiadomo było pani Kossakowskiej, nawet księżna Branicka, siostra króla, utrzymywała w swoim pałacu na Podwalnej pięćdziesięciu Rosjan. Naraz w ciszy rozległ się szelest sukni, który zmaćił myśli kasztelanowej. Wysoko na antresoli pojawiła się Krystyna, córka hrabiego Potockiego, szesnastoletnia panna o kasztanowych włosach puszczonej luzem, jakby dopiero wstała z łóżka i nie zdążyła ich upiąć. Z lękiem przyglądała się nieproszonym gościom, a jej osoba nie umknęła uwadze Markowa i stojących za nim kozaków, którzy wlepili w nią łakome spojrzenia. Tymczasem pułkownik ukłonił się pannie i dopiero słowa pani Kossakowskiej odwróciły jego uwagę od młodej damy.

– Proszę poczekać, oficerze, lokaj zaprowadzi pana na kwatery – powiedziała twardo.

Wiedziała, że opór może jedynie rozsierdzić to podpite żołdactwo, dla którego nie było świętości. Bardzo szybko fala kozaków zalała jedno ze skrzydeł pałacu wychodzące na ulicę, natomiast koniom zrobiono miejsce w pałacowej stajni. Markow zajął przestronny pokój na piętrze. Gdy rozgościł się w nowej kwaterze, przyszedł Danyło, żeby donieść o rozkwaterowaniu ludzi.

– Dziś nie wychylajcie nosa z pałacu, jutro wydam rozkazy – powiedział pułkownik po rosyjsku, ale Danyło dalej stał na baczność, jakby na coś czekał. Markow spojrzał na jego szarą, zarośniętą i pooraną bliznami gębę, po czym spytał: – No, co tam jeszcze, Danyło?

– Panie pułkowniku, ludzie chcą jeść.

– Pani Kossakowska nas nakarmi – powiedział Markow.

– Kasztelanowa opuściła pałac podczas rozkwaterowywania naszych ludzi. Sami możemy to zrobić, pułkowniku, tylko czekamy rozkazu, żeby się rozgościć. – Danyło wykrzywił usta w szyderycznym uśmiechu.

– Nie! – uciął pułkownik. – Poczekamy na kasztelanową,

choćby do nocy – zaznaczył i spytał: – A ta młoda dama, którą widzieliśmy na schodach, została?

– Nie, pułkowniku, pojechała razem z tą starą.

– A więc obie uciekły... Ale wrócą. – Oficer był tego pewien.

– Pułkowniku, jak nie prowiant, to choćby wódki się napić. – Kozak zmacił jego myśli i oblizał wargi na samą myśl o mocnym trunku.

– Wódki? – powtórzył. – Gorzałką czuć już od was w całym pałacu, wypłoszyliście obie damy i jeszcze wam mało?

Kozak zamilkł.

– Odmaszerować! – wrzasnął Markow. Gdy został sam, rzucił się na łóżko i rozmyślał. Udało mu się nająć dobrą kwaterę w mieście, wygodną, blisko Zamku Królewskiego i niedaleko rosyjskiej ambasady. Teraz czekał już tylko rozkazów generała Kochowskiego, pod którym służył.

Tymczasem Katarzyna Kossakowska z Krystyną zmierzały do pałacu księstwa Czartoryskich na Senatorskiej. Właśnie mijały ulicę Kozią, wzdłuż której aż do Senatorskiej rozciągały się przestronne ogrody, teraz uśpione pod śnieżną pierzyną, i dalej rezydencja księcia prymasa.

Księżna Czartoryska przyjęła gości serdecznie i z uśmiechem, którego tym razem kasztelanowa nie odwzajemniła, lecz od razu opowiedziała przyjaciółce, jakie nieszczęście je dziś spotkało: musiała przyjąć na kwaterę kilkudziesięciu kozaków.

– I pomyśleć, że przyjął stado baranów pod dach domu biednego Ignasia... – ubolewała gorzko.

– Postąpiłaś rozsądnie, Katarzyno. Nie mogłaś odmówić. Trzeba mieć nadzieję, że wiosną znaczna część rosyjskich wojsk opuści Warszawę i rozkwateruje się w okolicy – odparła Izabela, chcąc ją pocieszyć.

Katarzyna westchnęła ciężko. Żeby zapomnieć o przykrościach, księżna Izabela zaproponowała grę w mariasza.

Wkrótce zeszła do nich Maria Anna, córka księżnej, będąca w trakcie rozwodu z księciem Wirtembergii Ludwikiem, który w wojnie z Rosją zdradził Polskę i przeszedł na stronę wroga. Damy grały do zmięzchu, jakby zapominając o upływie czasu. Dopiero gdy wybijała siódma, kasztelanowa wraz z Krystyną zebrały się do powrotu.

Tymczasem Markow uciął sobie drzemkę, lecz przebudził się, czując ssanie w żołądku, w którym niedawno bulgotała jedynie wódka. Wezwał natychmiast Danyłę i dopytywał się, czy kasztelanowa wróciła. Okazało się, że ciągle jej nie ma, choć za oknem już dawno zapadł zmrok.

– Gdy tylko wróci, natychmiast chcę o tym wiedzieć – oznaczył oficer, po czym podszedł do lustra wiszącego nad komodą. Nieopodal, na stoliku, stał dzban z wodą. Nabrał więc wody w garść i chlusnął sobie w twarz nad porcelanową misą.

Człowieku, jak ty wyglądasz? – zdawały się pytać jego oczy. Tu nie dzikie stopy, tutaj nie spojrzy na ciebie żadna dama, tylko dziwki same będą pchały ci się w ręce jak muchy do lepu, czując ruble i dukaty.

Już sięgał po brzytwę, kiedy wpadł Danyło, wielce uradowany, z uśmiechniętą gębą, mówiąc, że gospodyni wróciła. Już chciał natychmiast bieć do niej dopytywać o prowiant.

– Czekaj! – ryknął Markow, zwracając go w pół drogi. – Sama przyniesie.

– A jak nie? Z głodu pomrzemy – odparł Danyło.

– Ty się o to nie martw – odparł. – Jeszcze się nie zdarzyło, żeby pułkownik Markow dał ukrzywdzić swoich kozaków. A teraz powiedz mi, Danyło, kiedy ostatni raz widziałeś swoją gębę w lustrze.

Kozak wytrzeszczył oczy, nie rozumiejąc ani na jotę pytania.

– Nie wiesz, bo i do czego ci lustro – rzucił z drwiną oficer. – To spójrz! Czy tak wygląda rosyjski żołnierz?

Kozak wbił wypłoszone, ponure spojrzenie w swoje odbicie w lustrze.

– Nie, Danyło, tak nie wygląda żołnierz pułku kozaków, ale zarosnięta małpa. Ogolić się i umyć! Wszyscy!

Spłoszony Danyło uciekł z pokoju.

Minęła godzina, dla Aleksieja długa, bo beczynna. Ogolony i umyty, leżał na łóżku, a ssanie w żołądku stało się tak dokuczliwe, że nie mógł zmrużyć oka, lecz naraz donośne pukanie do drzwi zmaćło ciszę panującą w pokoju. Okazało się, że to kamerdyner przyniósł chleb i jakąś pieczeń, na której widok ślina pociekła oficerowi. Przełknął ją i kazał postawić tacę, potem odesłał lokaja i usiadł do stołu. Zaspokoiwszy pierwszy głód, zaczął rozmyślać. Liczył na to, że gospodyni zaprosi go na kolację w swoim towarzystwie i w towarzystwie młodej damy, która choć jest córką polskiego buntownika, to wartą uwagi, on zaś rad by popatrzeć na jej ładną buzię i zamienić z nią parę słów. Ale pani Kossakowska wyraźnie dała mu odczuć, jak bardzo jego obecność tutaj wraz z kozakami jest jej niemiła.